

Bicie głową w mur

Wywiad z **Jarosławem Gwizdakiem**, byłym sędzią i prezesem Sądu Rejonowego w Katowicach, kandydatem w wyborach na prezydenta Katowic, aktywistą społecznym, radnym katowickiej dzielnicy Koszutka, publicystą, członkiem zarządu Instytutu Prawa i Społeczeństwa INPRIS.

Grzegorz Wiaderek: Przez wiele lat był pan sędzią, prezesem sądu, pierwszym laureatem nagrody Obywatelskiego Sędziego Roku. I w pewnym momencie zrezygnował pan z funkcji sędziego. Dlaczego?

Jarosław Gwizdak: Złożyło się na to kilka przyczyn. Przyczyna numer jeden to zwyczajne zmęczenie materiału. Miałem za sobą dwadzieścia lat funkcjonowania w systemie sądownictwa i co najmniej sześć lat intensywnych prób jego zmieniania. Po prostu miałem dość bicia głową w mur. Poza tym od początku zakładałem, że praca sędziego to nie jest dla mnie pierwsza i ostatnia praca. Zdobyłem trochę doświadczeń z innymi aktywnościami i chciałem jeszcze czegoś innego spróbować. Kolejna przyczyna to obecna sytuacja wymiaru sprawiedliwości, kształt zmian, które są wdrażane od kilku lat. Nie czułem się w tym dobrze jako niezależny i niezawisły sędzia. Ważnym momentem był również koniec kadencji prezesa sądu. Czułem, że się realizowałem jako prezes sądu. Starałem się wdrażać zmiany i usprawnienia, otwierać sąd na obywateli. Okazało się jednak, że nie ma znaczenia, jakim jesteś prezesem, co robisz, jakie masz osiągnięcia. Ważne jest to, czy jesteś „swój”.

gw: Czy po podjęciu decyzji o rezygnacji było pytanie: „I co dalej?”, czy miał pan może przemyślane plan dalszych działań,

pomysł na siebie po zdjęciu togi sędziowskiej?

JG: Nie było tak, że następnego dnia po złożeniu urzędu poszedłem do korporacji prawniczej i zacząłem nową pracę. Trochę to zostawiłem żywiołowi, a trochę to zaplanowałem. Od kilku lat prowadzę zajęcia na uczelni, niedawno zacząłem pisać do gazety, przygotowuję książkę. Od pewnego czasu wspieram także reformę wymiaru sprawiedliwości na Ukrainie, co jest bardzo ciekawym i trudnym doświadczeniem. W Polsce próbowałem zmienić wymiar sprawiedliwości i mi się nie udało, na Ukrainie również próbuję – i być może także mi się to nie uda. I jestem od niedawna radnym dzielnicy. Było i jest zatem kilka aktywności, które pozwalały mi przetrwać. Liczyłem się więc z tym, że będzie taki moment trudnego przejścia, ale chciałem dać sobie chwilę, żeby się spokojnie zastanowić, o co mi w życiu chodzi.

gw: Wszyscy mówią, że sądy i sędziowie muszą się komunikować z obywatelami, że komunikacja jest bardzo ważna. Ale co się za tym konkretnie kryje? Co to znaczy „dobrze się komunikować”? Jak sądy powinny to robić? Jest pan w tej sferze na pewno specjalistą. Potrafi się pan komunikować, choć nie zawsze w środowisku sędziowskim pańskie metody budziły entuzjazm.

JG: Dla mnie oczywiste jest, że sąd musi opowiedzieć o tym, co robi,

i wprowadzić jakąś własną narrację. Olga Tokarczuk powiedziała, że ten, kto ma opowieść, ten rządzi światem. Sąd zatem także musi być tym narratorem, choć nie zawsze „czułym”, ponieważ jego rola jednak jest specyficzna i nie wszyscy mogą być zadowoleni z jego rozstrzygnięć. Moje doświadczenie jest jednak takie, że jeżeli to nie ja, jako sędzia, czy sąd, którym kierowałem, opowie w sposób możliwie zrozumiały o tym, co robi czy co zrobił sąd, to ktoś inny przejmie tę narrację i mnie będzie wtedy znacznie trudniej prostować, wyjaśniać czy przebijać się z moją opowieścią. Miałem kilka doświadczeń w czasie, kiedy byłem prezesem sądu i odpowiadałem za komunikację sądu, gdy uznałem, że coś takiego jak krótki komunikat prasowy w sprawach, które ludzi interesują, bulwersują, jest ważny, wyprzedza relacje mediów i potępienie sędziego za to, co zrobił. Przedstawienie takiej sprawy sądowej krótko i prosto to nie jest nic łatwego, szczególnie przy słabej świadomości prawnej społeczeństwa. Gdy nawet coś tak oczywiste, jak domniemanie niewinności, w narracji polityków i mediów staje się czymś iluzorycznym. Nie chodzi o to, by narzekać, ale by znając te uwarunkowania, wiedzieć, że sąd też musi umieć opowiedzieć o tym, co robi, jak robi, i przebić się ze swoim przekazem, ponieważ inaczej go straci. Były różne analizy i pomysły, jak komunikować to, co robi sądownictwo. Między innymi, by na wzór holenderski powołać skonsolidowaną

służbę prasową sądów, która umiałaby na bieżąco i kompetentnie przekazywać to, co robią sądy. Konkretnie pomysły i koncepcje są więc gotowe i czekają na półce. Nie udało się ich dotychczas wprowadzić w życie. Tym bardziej teraz trudno się spodziewać, żeby to się udało, gdy minister sprawiedliwości jest w otwartym konflikcie z sądownictwem, a Krajowa Rada Sądownictwa jest nieuznawana przez środowisko sędziowskie. Stowarzyszenia sędziowskie również obecnie bardziej skupiają się na codziennej obronie podstawowych zasad niezależności i niezawisłości niż na budowaniu systemu komunikacji. Trudno tu zatem znaleźć dobrego narratora. Z drugiej strony w niepamięć odeszła też taka specjalność dziennikarska jak sprawozdawca sądowy. Mamy zalew różnych blogów, ale nie ma blogów sądowych, które opowiadałyby o konkretnych sprawach, a przez to o konkretnych ludziach.

GW: Kończąc już wątek sądowy. Abstrahując od obecnych okoliczności i wydarzeń politycznych, gdyby się okazało, że jest szansa na konkretne zmiany w funkcjonowaniu sądownictwa, to jakie zmiany uznałby pan za najważniejsze?

JG: Obecnie mam ten przywilej, że uczestnicząc w reformach wymiaru sprawiedliwości i słuchając wielu ekspertów zagranicznych, w tym szczególnie skandynawskich, mogę

sobie zrewidować to, co sam proponowałem przez lata. Coś, co jest takim kluczowym, podstawowym warunkiem jakichkolwiek zmian, jest to, by sędzia był od sądenia, to znaczy był od tego, żeby sprawę rozstrzygać, a nie ją obrabiać z każdej możliwej strony. Na przykład nie mogę się nadal zgodzić na to, że to sędzia postanowieniem przyznaje świadkowi zwrot kosztów za jego stawienie, ponieważ to jest absolutne marnotrawstwo jego czasu. I te przykłady można mnożyć. Taką pierwszą i podstawową kwestią w reformie wymiaru sprawiedliwości powinno być więc to, żebyśmy pozwolili sędziom sądzić. Żebyśmy sędziów wyposażyli na wzór hiszpański w tak zwane biura sędziego, w których na jednego sędziego przypada dwoje, troje pracowników i to biuro wspiera pracę konkretnego sędziego. Drugi kluczowy element to oczywiście ograniczenie kognicji. Jedną z konsekwencji wychodzenia z czasów komunistycznych było przekazanie sądom absolutnie wszystkiego. Brakuje już tylko, żeby sądy – mówiąc żartobliwie – wydawały dowody osobiste i paszporty. Zdecydowanie za dużo sporów czy spraw niespornych jest w zakresie zadań sądów. Zastanović się trzeba na przykład nad potrzebą obecności w sądach niektórych spraw administracyjnych czy z zakresu ubezpieczeń społecznych. I trzeci element – procedury. Z jednej strony należałoby odformalizować procedury dostępu do sądu, ale z drugiej strony tak je skonstruować, by skłonić strony

do polubownego załatwiania spraw lub do mediacji. Bardzo ważny element to rewolucja cyfrowa. Coś, co udało się w bankowości, jest też możliwe w sądownictwie, a sądy z tego korzystają w minimalnym zakresie. Począwszy od digitalizacji akt przez na przykład wysłuchiwanie biegłych *online* po załatwienie spraw elektronicznie. I wreszcie kwestia zarządzania w sądach i traktowania stron jako „użytkowników”, którym należy się dobra, profesjonalna usługa. Jest to bardzo trudne, były pilotażowe próby wdrażania różnych technik i pokazały one, że sąd to jednak nie jest korporacja i trzeba tu stosować narzędzia dostosowane do specyfiki sądów, biorąc pod uwagę zwłaszcza to, że nie ma się samodzielności budżetowej. Inna sprawa to kompetencje zarządcze kierujących sądami. Przyjęło się myśleć, że jak jest dobrym sędzią, to będzie dobrym prezesem. A to nie zawsze tak działa. Dobry prezes sądu powinien mieć też umiejętności przywódcze – i to w zakresie przewodzenia dość specyficznej grupie i trudnej w zarządzaniu, jaką są sędziowie, przyzwyczajeni do wydawania poleceń oraz mający zazwyczaj dużo pytań i wątpliwości. Na pewno jedno trzeba w sądach stosować: narzędzia pokazujące perspektywę i doświadczenia użytkownika i obywatela. Stąd na przykład wzięły się te moje pomysły na przejechanie sądu na wózku inwalidzkim.

gw: Pora przejść od sądów do polityki. Spróbował pan swoich sił

w poważnej polityce – zdecydował się na start w wyborach na prezydenta Katowic, mówiąc obywatelom, że ma pan swój pomysł na rozwój miasta. Jak smakuje ta twarda polityka?

JG: To był schyłek mojej sądowej kariery. Myślałem już, żeby próbować czegoś nowego. Nie wydaje mi się, żeby wybory samorządowe to była taka twarda polityka, żeby było się czegoś szukać, będą kopać – i to się rzeczywiście zdarzyło. Ale albo trudno było coś na mnie znaleźć, albo chcieli się ze mną obejść wyjątkowo łagodnie, nie wierząc, że ja mam jakiegokolwiek szanse. Dla mnie poza wymiarem sprawiedliwości w sercu jest moja mała ojczyzna – Katowice, w których się wychowałem i w których pracuję i mieszkam. Katowice na moich oczach się niesamowicie zmieniały, ale w mojej opinii nie mają szczególnego szczęścia do swoich prezydentów. Władza jest zaspawana i niemal dynastyczna. Nie widziałem dobrych kandydatów i uznałem, że warto spróbować. Tym bardziej że w sprawach miejskich pojawiałem się już od dłuższego czasu. W gronie rodziny i znajomych staraliśmy się animować życie dzielnicowe, staraliśmy się o place zabaw dla dzieci, oświecenie, robiliśmy małe ruchy miejskie. Ponadto chciałem się skonfrontować z tym, jak ten przedstawiciel kasty, wstrętny prawnik, wygląda z punktu widzenia ludzi, abstrahując od spraw czysto politycznych, ponieważ ławka czy plac zabaw

nie są polityczne. I dla mnie te kilka miesięcy kampanii *door to door*, od człowieka do człowieka, było jednym z najważniejszych doświadczeń mojego życia. Wyjście z gabinetu nie było łatwe. Wcześniej się do mnie zwracano „wysoki sędzie”, a w kampanii to ani „wysoki” ani „sędzie”, ale czasem twardym słowem na „w”, po którym wiedziałem, że mam szybko czmychać. I to się zdarzyło kilka razy, ale na co dzień w takich bezpośrednich rozmowach i w bytności z ludźmi, podejszcie do siedzących na ławkach i wyglądających przez okno, wiele się dowiedziałem o sobie, o ludziach i o Katowicach. I dzięki temu przy minimalnych nakładach finansowych, ponieważ wydaliśmy raptem czternaście tysięcy złotych, udało mi się zrobić trzeci wynik. I to nie był wynik symboliczny, gdyż przy starciu tych dwóch wielkich sił ja uzbierałem prawie jedenaście procent głosów, co było i jest dla mnie wielką radością, że tyle osób uznało, że będę dobrym prezydentem Katowic. A dlaczego sam uważałem, że będę dobrym prezydentem Katowic? Czuję się trochę takim publicznym menedżerem, byłem szefem publicznego podmiotu zatrudniającego prawie ćwierć tysiąca osób, starałem się to prowadzić, jak najlepiej potrafiłem. I przekładając to doświadczenie na miejskie realia, które znałem od czterdziestu paru lat, zakładałem, że jestem w stanie sobie z tym poradzić.

gw: Chciałem zapytać o pana działalność obywatelsko-edukacyjną. O pana zaangażowanie

lokalne, które wcześniej się już pojawiało, ale po rezygnacji z funkcji sędziego zyskało nową siłę i nowe formy. Jakie są pana refleksje w tym zakresie?

JG: Wiele lat temu stworzyliśmy z grupą znajomych pierwszy w dzielnicy portal internetowy z informacjami ważnymi dla mieszkańców, począwszy od tego, gdzie są kolektury totalizatora, bankomaty, skończywszy zaś na porównywaniu cen z warzywniaków. I mieliśmy z tego dużą frajdę. Okazało się, że można znaleźć w tygodniu godzinę czy dwie, żeby zrobić coś pożytecznego dla swojego otoczenia. Później mieliśmy bardzo ciekawe doświadczenie, kiedy jako młodzi rodzice staraliśmy się o renowację wielkiego placu zabaw, który pamiętaliśmy ze swojego dzieciństwa. I to była kolejna lekcja lokalnej samorządności, ale także lokalnej nieufności i teorii spiskowych. Byliśmy odsądzeni od czci i wiary, nazywani ludźmi deweloperów, ludźmi z cynicznymi uśmiechami, którym nic w życiu nie wyszło. Ponieważ byłem jednak jedną ze stron tego konfliktu, nie pomyślałem wtedy, że można nad tym jakoś popracować i facylitować to, posadzić obie strony i wspólnie wypracować jakąś wspólną koncepcję. To mnie na kilka lat wyleczyło z różnych aktywności *stricte* lokalnych. Ale od pewnego czasu jestem radnym i przewodniczącym rady dzielnicy Koszutka i to jest także niesamowita obserwacja. I nie powiem nic miłego. Jestem załamany niską rozpoznawalnością tego

najniższego stopnia samorządu. Po pierwsze, w wyborach do tej rady frekwencja nie przekroczyła siedmiu procent, po drugie, co za tym idzie, żeby się dostać do takiej rady, wystarczyło kilkanaście głosów, czyli kilku sąsiadów z rodzinami. Jest naprawdę bardzo duży problem z rozumieniem kompetencji tej rady, i to nie tylko przez mieszkańców, ale także przez samych radnych. Swoje urzędowanie zacząłem od komunikowania i tłumaczenia, co może rada, jakie są funkcje i zadania przewodniczącego. I to mocno kuleje, cały czas szukam pomysłu na to, jak to robić. I tu dochodzimy do tej mojej dużej fascynacji – edukacji. Chodziłem za organizatorami konferencji TEDx w Katowicach chyba przez dwa lata, męcząc ich, żeby zrobili taki TEDx poświęcony prawu, że warto porozmawiać o tym, co reguluje nasze życie. I udało nam się dwie takie konferencje zrobić. Wystąpienia na tych konferencjach, w tym moje, mają całkiem sporą liczbę wyświetleń. Od 2017 roku odbyłem taką trasę przez Polskę: Przystanek Woodstock, forum w Krynicy, szkoły na Śląsku, domy kultury, lokalne festiwale i święta, warsztaty dla seniorów o prawie spadkowym. Takie „uliczne” prawo, do którego prezentowania – wydaje mi się – jestem gotowy i całkiem dobrze mi się to udaje. I którego, jak sądzę, bardzo w Polsce brakuje.